

LEE CHILD

JEDNYM STRZAŁEM

Jack
Reacher



1

Piątek. Piąta po południu. Chyba najgorsza pora na to, aby nie rzucając się w oczy, przejechać przez miasto. A może najlepsza. Ponieważ o piątej po południu w piątek nikt na nic nie zwraca uwagi. Tylko na drogę przed sobą.

Człowiek z karabinem jechał na północ. Nie za szybko, nie za wolno. Nie zwracając na siebie uwagi. Nie wyróżniając się niczym. Jechał jasnym minivanem, który pamiętał lepsze czasy. Był sam. Nosił jasny prochowiec i jeden z tych bezkształtnych jasnych kapelusików, jakie starsi panowie noszą na polach golfowych, kiedy praży słońce lub pada deszcz. Kapelusik miał dwukolorowy otok. Był nasunięty na oczy. Płaszcz był zapięty pod szyję. Mężczyzna nosił okulary przeciwsłoneczne, chociaż samochód miał przyciemnione szyby, a dzień był pochmurny. I nosił rękawiczki, chociaż zima skończyła się już przed trzema miesiącami, a dzień wcale nie był chłodny.

W miejscu, gdzie First Street zaczynała piąć się na wzgórze, pojazdy poruszały się w ślimaczym tempie. Potem zupełnie się zatrzymały, tam gdzie dwa pasy przechodziły w jeden, ponieważ z drugiego robotnicy zerwali asfalt. Całe miasto było rozkopane. Już od roku jazda przez nie była koszmarem. Dziury w nawierzchni, wywrotki ze żwirem, betoniarki, maszyny do wylewania asfaltu. Człowiek z karabinem zdjął rękę z kierownicy. Podciągnął mankiet. Spojrzał na zegarek.

Jedenaście minut.

Bądź cierpliwy.

Zdjął nogę z hamulca i samochód wolno ruszył naprzód. Potem znów się zatrzymał, tam gdzie zaczynało się śródmiejskie centrum handlowe i ulica stawała się węższa, a chodniki szersze. Z lewej i prawej wznosiły się supermarkety, każdy następny nieco wyżej od poprzedniego z powodu nachylenia stoku. Szerokie chodniki zapewniały dużo miejsca spacerującym klientom. Żeliwne maszty flagowe i żeliwne słupy latarni stały w długim szeregu niczym wartownicy między ludźmi a samochodami. Ludzie mieli tu więcej miejsca niż samochody. Te poruszały się bardzo wolno. Znowu spojrzął na zegarek.

Osiem minut.

Bądź cierpliwy.

Sto jardów dalej było trochę mniej sklepów. Robiło się luźniej. First Street stawała się nieco szersza i znów trochę zaniedbana. Pojawiały się bary i tanie sklepiki. Po lewej znajdował się wielopoziomowy parking. Kolejne roboty drogowe prowadzono w miejscu, gdzie rozbudowywano parking. Jeszcze dalej ulicę zamykał niski mur. Za nim ciągnął się rozległy plac z rzeźbioną fontanną. Po lewej stronie placu stała stara biblioteka miejska, po prawej nowy biurowiec, za nim wieżowiec z czarnego szkła. First Street gwałtownie skręcała w prawo przed murem odgradzającym plac i biegła dalej na zachód, obok zaśmieconych tylnych wejść i wjazdów dostawczych, a potem pod estakadą autostrady stanowej.

Jednak człowiek w minivanie zwolnił, nie dojeżdżając do zakrętu przed placem, a potem skręcił w lewo i zjechał na parking. Pojechał na górę. Przy wjeździe nie było szlabanu, ponieważ każde miejsce miało swój parkometr. Tak więc nie było tu kasjera, żadnego świadka, biletu, papierowego śladu. Mężczyzna w minivanie dobrze o tym wiedział. Wjechał na drugi poziom i skierował wóz na sam koniec hali. Na moment zostawił silnik na jałowym biegu, wysiadł z samochodu i zabrał styropianowy pomarańczowy słupek z miejsca, na którym zamierzał zaparkować. Znajdowało się na samym końcu starego parkingu, tuż przy dobudowywanej części.

Zaparkował samochód i wyłączył silnik. Przez moment siedział nieruchomo. Wokół panowała cisza. Parking był zapełniony samochodami. Miejsce, które zabezpieczył styropianowym słupkiem, było ostatnim wolnym stanowiskiem. Ten parking zawsze był zatłoczony. Mężczyzna o tym wiedział. Dlatego rozbudowywali budynek. Podwajali jego pojemność. Korzystali z niego głównie klienci sklepów. Dlatego było tu tak cicho. Nikt zdrowy na umyśle nie próbowałby stąd wyjechać o piątej po południu. Nie w godzinie szczytu. Nie przy tych robotach drogowych. Ludzie albo odjechali przed czwartą, albo czekali do szóstej.

Mężczyzna w minivanie sprawdził czas.

Cztery minuty.

Spokojnie.

Otworzył drzwi po stronie kierowcy i wysiadł. Wyjął z kieszeni ćwierćdolarówkę i włożył do parkometru. Mocno przekręcił rączkę, usłyszał brzęk wpadającej monety i zobaczył, jak zegar dał mu za nią godzinę. Nie słychać było żadnego innego dźwięku. W powietrzu unosił się tylko zapach zaparkowanych pojazdów: benzyny, gumy, spalin.

Staął nieruchomo obok samochodu. Na nogach miał stare pustynne buty z zamszu koloru khaki, sznurowane, z białymi miękkimi podeszwami — ulubione obuwie żołnierzy sił specjalnych. Standardowy model, niezmienny chyba od sześćdziesięciu lat.

Obejrzał się na parkometr. Pięćdziesiąt dziewięć minut. Nie będzie potrzebował pięćdziesięciu dziewięciu minut. Otworzył przesuwane tylne drzwi minivana, pochylił się, odwinął koc i wyjął karabin. Był to samopowtarzalny springfield M1A super match z kolbą z amerykańskiego orzecha, długą lufą i magazynkiem na dziesięć pocisków kalibru .308. Cywilny odpowiednik snajperskiego karabinu M14, używanego przez amerykańską armię w tym czasie, kiedy przed laty służył w wojsku. Była to dobra broń. Może niezapewniająca tak dokładnego pierwszego strzału jak najlepsze karabiny z zamkiem ryglowym, ale wystarczająca. Zupełnie wystarczająca. Nie zamierzał strzelać z bardzo dużej odległości. I była załadowana pociskami Lake

City M852. Jego ulubionymi, robionymi na zamówienie. Łuski Lake City Match, proch Federal i pociski BT o masie 168 granów, z wklęsłymi czubkami. Pociski były chyba lepsze niż broń. Lekkie przegięcie.

Nasłuchiwał w milczeniu, po czym podniósł karabin z tylnego siedzenia. Zabrał go ze sobą tam, gdzie kończyła się stara i zaczynała nowa część budynku. Między starą a nową betonową płytą biegł półcalowy rowek. Jak linia demarkacyjna. Domyślił się, że to szczelina dylatacyjna. Ze względu na letnie upały. Przypuszczalnie wypełnią ją smołą. Nad rowkiem między dwoma filarami rozpięto żółto-czarną taśmę z nadrukiem UWAGA! NIE WCHODZIĆ. Przyklęknął na kolano i prześlizgnął się pod nią. Wyprostował się i wszedł na teren budowy. Część nowej betonowej posadzki była już gładka, a część chropowata — wciąż czekała na ostatnią warstwę. Tu i ówdzie rozłożono pomosty z drewnianych desek. Wszędzie leżały sterty papierowych worków po cementie, pełnych i pustych. Dostrzegł kolejne szczeliny dylatacyjne. I rzędy wyłączonych żarówek. Puste taczki, pogniecione pojemniki, szpule kabli, walające się drewniane krawędziaki, sterty gruzu, milczące betoniarki. Wszędzie był szary cementowy pył, drobniutki jak talk, oraz zapach wapna.

Mężczyzna z karabinem szedł przez mrok, aż dotarł do nowego północno-wschodniego rogu budynku. Tam przystanął, mocno oparł się plecami o szorstki betonowy filar i znieruchomiał. Z głową obróconą w prawo powoli się przesunął, tak aby dobrze widzieć otoczenie. Znajdował się około ośmiu stóp od nowej balustrady parkingu. Północna ściana. Sięgająca mu prawie do pasa. Niedokończona. Powstrzeliwano w nią kołki, na których później zostanie zamocowana metalowa bariera, zapobiegająca ocieraniu się samochodów o beton. W posadzce zamontowano uchwyty na nowe parkometry.

Mężczyzna z karabinem powoli przesunął się naprzód i obrócił, aż poczuł między łopatkami twardą krawędź filara. Znów obrócił głowę. Teraz spoglądał na północ i wschód. Prosto na plac. Fontanna była teraz wąskim prostokątem, zwróconym do

niego krótszymi bokami. Miała chyba osiemdziesiąt stóp na dwadzieścia. Wyglądała jak duży pojemnik na wodę, duży brodzik. Otaczał ją ceglany murek wysokości czterech stóp. Woda omywała jego wewnętrzne ściany. Lewy przedni i prawy tylny narożnik murku znajdowały się niemal dokładnie na linii jego widzenia, biegnącej po przekątnej fontanny. Woda miała około trzech stóp głębokości. Fontanna tryskała na samym środku basenu. Słyszał jej plusk, tak samo jak jadące ulicą pojazdy i stukot kroków na ulicy. Frontowa ściana fontanny znajdowała się około trzech stóp za murem odgradzającym plac od First Street. Oba murki biegły blisko siebie, równoległe przez jakieś dwadzieścia stóp, ze wschodu na zachód, oddzielone jedynie wąskim chodnikiem.

Mężczyzna znajdował się na pierwszym piętrze parkingu, lecz ponieważ First Street biegła w górę, plac znajdował się znacznie niżej niż jedno piętro pod nim. Wprawdzie patrzył nań pod kątem, ale niezbyt ostrym. Po prawej stronie placu widział wejście do nowego biurowca. Ten wyglądał tandetnie. Postawiono go i nie znaleziono najemców. Mężczyzna wiedział o tym. Aby nobilitować to nowe centrum, władze stanowe umieściły w biurowcu różne urzędy. Był tutaj wydział komunikacji oraz połączone biuro werbunkowe wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki. Może wydział opieki społecznej. Być może i izba skarbowa. Mężczyzna z karabinem nie był tego pewien. I nic go to nie obchodziło.

Uklęknął, a potem położył się na brzuchu. Czołganie to podstawowy sposób poruszania się snajpera. Podczas swojej służby w wojsku pokonał w ten sposób chyba z milion mil. Na kolanach, łokciach i brzuchu. Standardowa metoda działania snajpera i jego pomocnika nakazywała oddalić się tysiąc jardów od oddziału i podczołgać na pozycję. Na ćwiczeniach czasem mijało kilka godzin, zanim zdołał to zrobić, niezauważony przez obserwatora z lornetką. Teraz jednak miał do pokonania zaledwie osiem stóp. I z tego, co wiedział, nikt nie obserwował go przez lornetkę.

Dotarł do podnóża murku i wyciągnął się na podłódze, przywierając do szorstkiego betonu. Potem powoli usiadł.

Później uklęknał. Podwinął prawą nogę. Lewą stopę postawił zupełnie płasko, lewa łydka tworzyła z nią kąt prosty. Oparł lewy łokieć o kolano lewej nogi. Podniósł karabin. Umieścił koniec łoża na krawędzi betonowego murku. Ostrożnie poruszył bronią tam i z powrotem, aż poczuł, że dobrze i pewnie leży mu w rękach. „Przyklęk z podparciem” — tak nazywała się ta pozycja w podręczniku. Dobra pozycja. Jego zdaniem ustępująca tylko pozycji leżącej z karabinem opartym na dwójnogu. Zrobił kontrolowany wdech i wydech. „Jeden strzał, jeden trup”. Dewiza strzelca wyborowego. Sukces wymaga samokontroli, spokoju i zimnej krwi. Zrobił wdech i wydech. Odprężył się. Poczul, że zbliża się do celu.

Gotowy.

Infiltracja udana.

Teraz zaczekaj na odpowiedni moment.

Czekał mniej więcej siedem minut, nie poruszając się, oddychając miarowo i koncentrując się. Spojrzał na bibliotekę po lewej. Nad nią i za nią łuk estakady wznosił się na swoich przęsłach, jakby opiekuńczo obejmował ten stary budynek z wapienia. Potem trochę się prostował i przechodził za wieżowcem z czarnego szkła, niemal na wysokości trzeciego piętra. Na postumencie przed głównym wejściem do wieżowca stał paw będący symbolem NBC, ale mężczyzna z karabinem był pewien, że filia tej sieci telewizyjnej nie zajmowała całego budynku. Zapewne nawet nie zajmowała całego piętra. Pozostałe pomieszczenia były wynajmowane przez jednoosobowe firmy prawnicze, dyplomowanych księgowych, przedstawicieli biur obrotu nieruchomościami, agentów ubezpieczeniowych lub doradców inwestycyjnych. Albo stały puste.

Ludzie wychodzili z nowego budynku po prawej. Jedni przyszedli tu po nowe tablice rejestracyjne, inni oddać stare lub dołączyć do armii walczących ze stanową biurokracją. Było tam mnóstwo ludzi. Zbliżała się pora zamknięcia urzędów. Piąta godzina, piątkowe popołudnie. Ludzie wychodzili z budynku i skręcali w prawo lub w lewo, przechodząc przed nim gęsiego po wąskim chodniku, mijając krótszy bok fontanny.

Jak kaczki na strzelnicy. Jeden po drugim. *Wiele dobrych celów.* Odległość około stu stóp. W przybliżeniu. Z pewnością mniej niż trzydzieści pięć jardów. *Bardzo blisko.*

Czekał.

Niektórzy ludzie, przechodząc, zanurzali palce w wodzie. Murek fontanny miał akurat taką wysokość, że mogli to robić. Człowiek z karabinem widział jasne plamki miedziaków na czarnych kafelkach dna. Poruszały się i falowały tam, gdzie woda tryskająca z fontanny marszczyła powierzchnię.

Obserwował. Czekał.

Ludzki potok zmienił się w rzekę. Teraz z budynku wychodziło tylu ludzi naraz, że musieli stać w grupie i cierpliwie czekać na swoją kolej, żeby przejść gęsiego między dwoma murkami. Ruch uliczny na First Street w dole również zamarł. Korek. *Pan pierwszy. Nie, to pan pierwszy.* To jeszcze bardziej spowalniało tempo. Teraz ludzie rzeczywiście przypominali kaczki na strzelnicy.

Człowiek z karabinem zrobił kontrolowany wdech i wydech, czekając.

Potem przestał czekać.

Nacisnął spust, kilkakrotnie, raz za razem.

Pierwsza kula trafiła w głowę mężczyznę, zabijając go na miejscu. Huknął strzał, któremu towarzyszył trzask powietrza, rozdzieranego przez lecący z naddźwiękową prędkością pocisk, głowę ofiary spowiła różowa mgiełka i facet padł jak marionetka, której przecięto sznurki.

Zabity pierwszym strzałem.

Doskonale.

Strzelał szybko, od lewej do prawej. Drugi pocisk posłał w głowę następnego mężczyzny. Dokładnie z takim samym rezultatem. Trzeci w głowę kobiety. Ten sam rezultat. Trzy strzały zaledwie w dwie sekundy. Trzy trafienia. Całkowite zaskoczenie. Przez ułamek sekundy żadnej reakcji. Potem wybuchło zamieszanie. Istne pandemonium. Panika. W wąskiej przestrzeni między murkiem ogradzającym plac a fontanną znajdowało się dwanaście osób. Trzy już nie żyły. Pozostałe dziewięć rzuciło się do ucieczki. Czwooro pobiegło naprzód,

a pięcioro odwróciło się plecami do zabitych i zaczęło uciekać z powrotem. Ta piątka wpadła na zbity tłum wciąż idący w ich kierunku. Rozległy się przeraźliwe krzyki. Człowiek z karabinem miał przed sobą skłębioną grupę przerażonych ludzi. W odległości niecałych trzydziestu pięciu jardów. Bardzo blisko.

Czwarty strzał zabił mężczyznę w garniturze. Piąty chybił. Pocisk Sierra Matchking przeszedł tuż nad ramieniem jakiejś kobiety, z sykiem wpadł do fontanny i znikł. Strzelec zignorował to, przesunął odrobinę lufę springfielda i szóstym strzałem trafił jakiegoś mężczyznę w nasadę nosa, roztrzaskując czaszkę.

Człowiek z karabinem przestał strzelać.

Schował się za murek i rakiem odczołgał się trzy stopy w głąb parkingu. Czuł woń spalonego prochu, a przez dzwonienie w uszach słyszał krzyki kobiet, tupot nóg i trzask zderzaków na ulicy poniżej. Bez obawy, ludziki, pomyślał. Już po wszystkim. Już mnie tu nie ma. Wyciągnął się na brzuchu i zgarnął łuski na kupkę. Mosiądz jasno błyszczał tuż przed jego nosem. Zgarnął pięć łusek w okryte rękawicami dłonie, ale szósta potoczyła się i wleciała w szczelinę dyktacyjną. Wpadła do tego płytkiego, dziewięciocalowego rowka, mającego pół cala szerokości. Usłyszał cichy brzęk, gdy uderzyła o dno.

Jaka decyzja?

Zostawić ją, oczywiście.

Nie ma czasu.

Wepchnął pięć pozostałych łusek do kieszeni prochowca, po czym odczołgał się na palcach rąk i nóg, i na brzuchu. Przez moment leżał nieruchomo, słuchając wrzasków. Potem podniósł się na klęczki i wstał. Odwrócił się i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł, szybko, lecz spokojnie, po szorstkim betonie, po drewnianych pomostach, przez mrok i kurz, pod żółto-czarną taśmą. Z powrotem do swojego minivana.

Tylne drzwi wciąż były otwarte. Znów zawinął karabin w koc, położył go z tyłu i zasunął drzwi. Usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Zerknął przez przednią szybę na parkometr. Zostały mu czterdzieści cztery minuty. Wyjechał tyłem i skierował się do

wyjazdu. Zjechał po rampie do niepilnowanej bramy, a potem dwukrotnie skręcił w prawo, w płataninę uliczek na tyłach supermarketów. Przejechał pod wiaduktem, zanim usłyszał pierwsze syreny. Odetchnął. Radiowozy jechały na wschód, a on na zachód.

Dobra robota, pomyślał. Skuteczna infiltracja, sześć od-danych strzałów, pięć celnych, udany odwrót, gładko jak po maśle.

Nagle uśmiechnął się. Wojskowe statystyki od dawna wy-kazują, że na polu bitwy jeden zabity nieprzyjaciel przypada na piętnaście tysięcy naboju wystrzelonych przez piechotę. Jednak dobrze wyszkoleni strzelcy wyborowi osiągają lepsze wyniki. O wiele lepsze. Ściśle mówiąc, dwanaście i pół tysiąca razy lepsze. We współczesnej armii jeden zabity wróg przypada na jeden i dwie dziesiąte pocisku wystrzelonego przez snajpera. A jeden przecinek dwa to dokładnie pięć celnych strzałów na sześć. Dokładnie taka sama średnia. Prosta arytmetyka. Tak więc nawet po tylu latach wojskowy strzelec wyborowy uzyskał taki wynik, jakiego oczekiwaliby jego instruktorzy. Byliby bardzo zadowoleni.

• • •

Jednak jego dawni instruktorzy przygotowywali strzelców wyborowych do działań na polu bitwy, a nie do popełniania przestępstw. W przypadku tych ostatnich dochodzą do głosu czynniki nieistniejące na polu bitwy. Te czynniki zmieniają definicję udanego odwrotu. W tym konkretnym wypadku naj-szybciej zareagowały media. I nic dziwnego, skoro doszło do strzelaniny pod oknem filii NBC. Zanim tuzin przerażonych świadków niemal jednocześnie zadzwonił ze swoich telefonów komórkowych pod 911, wydarzyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, zaczęły nagrywać wszystkie minikamery w biurze NBC. Per-sonel chwycił je, włączył i wycelował w okna. Po drugie, miejscowa reporterka, niejaka Ann Yanni, zaczęła układać słowa komunikatu, w pełni świadoma tego, że będzie to jej pierwszy naprawdę wystrzałowy reportaż. Była wstrząśnięta i przestraszona, ale potrafiła dostrzec i wykorzystać nadarzącą się

okazję. Tak więc zaczęła układać w myślach komunikat. Wiedziała, że najważniejszy jest dobór odpowiednich słów, a do głowy przychodziły jej: „snajper”, „bezsensowny” i „mord”. Aliteracja była czysto instynktowna. Tak jak banalność tych określeń. Jednak „mord” to jedyne słowo, jakie wydawało jej się odpowiednie. Ponadto „mord” było doskonałym słowem. W pełni oddawało przypadkowość, bezmyślność, okropność i dzikość tego czynu. Beznamiętność i bezosobowość. Było idealnym słowem do tego reportażu. Jednocześnie wiedziała, że nie nadaje się na podpis pod zdjęciami. Znacznie lepsze będzie „masakra”. „Masakra w piątkowy wieczór”? „Masakra w godzinie szczytu”? Pobiegła do drzwi, mając nadzieję, że facet od grafiki dobierze materiał pasujący do jednego z tych tytułów.

• • •

Ponadto na polu bitwy nie ma stróżów prawa. Tuzin jednocześnie telefonów pod numer 911 sprawił, że konsola dyspozytora rozjarzyła się światełkami jak bożonarodzeniowa choinka i po czterdziestu sekundach miejscowa policja oraz straż pożarna już były w drodze. Wysłano wszystkie wozy, z włączonymi migaczami i syrenami. Wszystkie radiowozy, wszystkich będących na służbie detektywów, techników kryminalistyki, ratowników medycznych, każdy wóz straży pożarnej i ambulans. W rezultacie na początku panował kompletny bałagan. Dzwoniący pod 911 byli przestraszeni i roztrzęsieni. Jednak najwyraźniej doszło do poważnego przestępstwa, tak więc tymczasowe dowodzenie objął szef wydziału ciężkich przestępstw. Był nim wysoko wykwalifikowany, doświadczony policjant, który dosłużył się tego stanowiska, przechodząc wszystkie szczeble policyjnej hierarchii, od zwykłego posterunkowego. Nazywał się Emerson. Przedzierał się przez korki, omijając rozkopane ulice, nie mając pojęcia, co naprawdę się stało. Napad na bank, porachunki dealerów, wojna gangów, atak terrorystyczny — nie miał żadnych konkretnych informacji. Żadnych. Mimo to był stosunkowo opanowany. Jego tętno nie przekraczało stu pięćdziesięciu. Jadąc, utrzymywał stałą łącz-

ność z dyspozytorem, rozpaczliwie czekając na kolejne informacje.

— Dzwoni następny facet! — krzyknął dyspozytor.

— Kto? — odkrzyknął Emerson.

— Komandos z biura werbunkowego.

— Był świadkiem?

— Nie, znajdował się w środku. Jednak teraz jest na zewnątrz.

Emerson zacisnął zęby. Wiedział, że nie będzie pierwszy na miejscu zbrodni. Nawet nie w pierwszej dekadzie. Zdawał sobie sprawę z tego, że musi dowodzić z tyłu. Tak więc potrzebował dobrych oczu. Natychmiast. *Komandos? Ten się nada.*

— W porządku — rzekł. — Połącz mnie z nim.

Usłyszał elektroniczne piski i trzaski, a potem nowe dźwięki. Uliczny hałas, odległe krzyki, plusk wody. Fontanna, pomyślał.

— Kto mówi? — zapytał.

Odpowiedział mu męski głos, opanowany, lecz głośny i zdyszany. Najwyraźniej mówiący trzymał słuchawkę blisko ust.

— Tu Kelly — powiedział mężczyzna. — Sierżant sztabowy piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych. Z kim rozmawiam?

— Emerson, policja. Utknąłem w korku jakieś dziesięć minut od was. Co tam mamy?

— Pięć ofiar — powiedział komandos.

— Pięciu zabitych?

— Zgadza się.

O kurwa.

— Ranni?

— Żadnego nie widzę.

— Pięciu zabitych i żadnego rannego?

— Zgadza się — powtórzył komandos.

Emerson nic nie powiedział. Widywał już strzelaniny w środku miasta. Widywał zabitych. Jednak nigdy nie widział wyłącznie zabitych. Po strzelaninach w mieście zawsze byli zabici i ranni. Zazwyczaj w identycznych proporcjach.

- Jest pan pewien, że nie ma rannych? — zapytał.
- Całkowicie — odparł komandos.
- Kim są ofiary?
- Cywile. Czterech mężczyzn, jedna kobieta.
- Kurwa.
- Potwierdzam — powiedział komandos.
- Gdzie pan był?
- W biurze werbunkowym.
- Co pan widział?
- Nic.
- A co pan słyszał?
- Strzały. Sześć strzałów.
- Z broni ręcznej?
- Raczej długiej. Tak mi się zdaje.
- Z karabinu?
- Chyba samopowtarzalnego. Strzelano szybko, ale nie serią. Wszystkie ofiary zostały trafione w głowę.
- Snajper, pomyślał Emerson. Kurwa mać. Szaleniec z bronią szturmową.
- Strzelec uciekł? — zapytał.
- Już nie strzela.
- Może nadal tam być.
- To możliwe. Ludzie się pochowali, większość w bibliotece.
- A pan gdzie jest?
- Za murkiem otaczającym plac. Ze mną jest jeszcze kilka osób.
- Skąd strzelał?
- Nie jestem pewien. Może z piętrowego parkingu. Z jego nowej części. Ludzie wskazywali w tym kierunku. Może dostrzegli błyski strzałów. Ponadto to jedyny duży budynek znajdujący się dokładnie naprzeciw naszego.
- Istny labirynt, pomyślał Emerson. Cholerne szczurze gniazdo.
- Jest tu telewizja — powiedział komandos.
- O kurwa, pomyślał Emerson.
- Jest pan w mundurze? — spytał.
- Galowym. Jak to w biurze werbunkowym.

— W porządku, niech pan stara się utrzymać porządek, dopóki nie dotrą tam moi chłopcy.

— Przyjąłem.

Rozmówca wyłączył się i Emerson znów usłyszał sapanie dyspozytora. Telewizja i szaleniec z karabinem, pomyślał. A niech to szlag! Presja, patrzenie na ręce i jałowe domysły, jak wszędzie gdzie znajdzie się telewizja i szaleniec z bronią. Wcisnął klawisz i uzyskał połączenie ze wszystkimi policyjnymi wozami.

— Uwaga wszystkie radiowozy — powiedział. — Mamy szaleńca z karabinem. Prawdopodobnie broń półautomatyczna. Oddał kilka strzałów w miejscu publicznym. Zapewne z nowej części piętrowego parkingu. Tak więc albo nadal tam jest, albo zwiął. Jeżeli uciekł, to pieszo lub jakimś pojazdem. Wszystkie radiowozy oddalone o więcej niż dziesięć przecznic od miejsca wydarzeń mają natychmiast stanąć i zablokować ulice. Nikogo nie wpuszczać i nie przepuszczać, jasne? Żadnych pojazdów, przechodniów, absolutnie nikogo. Wszystkie radiowozy w promieniu dziesięciu przecznic jadą na miejsce wydarzeń, zachowując najwyższą ostrożność. Nie pozwólcie mu uciec. Nie przegapcie go. Musimy go dorwać, chłopcy. Musimy złapać go dziś, zanim CNN dobierze nam się do skóry.

• • •

Mężczyzna w minivanie nacisnął kciukiem przycisk pilota na konsoli i drzwi garażu podniosły się z rumorem. Wjechał do środka, ponownie nacisnął przycisk i drzwi się zamknęły. Zgasił silnik i przez chwilę siedział nieruchomo. Potem wysiadł, przeszedł przez sień i do kuchni. Poklepał psa i włączył telewizor.

• • •

Ratownicy w kamizelkach kuloodpornych weszli tylnymi drzwiami do biblioteki. Dwaj zostali w środku, aby sprawdzić, czy nie ma rannych wśród kryjących się tam ludzi. Czterej wypadli przez drzwi frontowe, nisko pochyleni przebiegli przez plac i schowali się za murkiem. Podczołgali się do ofiar i po-

twierdzili, że wszystkie nie żyją. Potem pozostali przy ciałach. Leżeli w bezruchu. „Nie narażać się niepotrzebnie, dopóki nie przeszukamy parkingu”, powiedział Emerson.

• • •

Emerson zaparkował nieprzepisowo dwie przecznice od placu i kazał umundurowanemu sierżantowi policji pokierować akcją przeszukania parkingu, od góry po sam dół, poczynając od południowo-zachodniego narożnika. Mundurowi sprawdzili najpierw trzecie, później drugie piętro. Potem pierwsze. I parter. Starą część budynku niełatwo było sprawdzić. Była kiepsko oświetlona i pełna zaparkowanych samochodów, a każdy z nich mógł stanowić potencjalną kryjówkę. Facet mógł schować się w jednym z nich, pod nim lub za nim. Jednak nikogo nie znaleźli. Nowa część budynku nie sprawiała takich kłopotów. Nie była oświetlona, ale nie stały w niej żadne samochody. Policjanci po prostu zeszli po schodach, kolejno oświetlając latarkami każde piętro.

Nikogo.

Sierżant odprężył się i złożył meldunek przez radio.

— Dobra robota — powiedział Emerson.

I rzeczywiście tak było. Ponieważ poszukiwania prowadzono od południowo-zachodniego narożnika, północno-wschodni pozostał nietknięty. Niczego tam nie ruszono. Tak więc dzięki szczęściu lub dobrej ocenie sytuacji policja spisała się bez zarzutu w pierwszej fazie tego, co później uznano za dochodzenie poprowadzone nienagannie od początku do końca.

• • •

O siódmej zaczęło już zmierzchać i Ann Yanni jedenaście razy weszła na antenę. Trzy razy dla sieci, osiem razy lokalnie. Osobiście była trochę rozczarowana tym wynikiem. Wyczuwała lekki sceptycyzm naczelnej redakcji sieci. „Krew najlepiej się sprzedaje” — to dewiza wszystkich mediów, lecz krew przelano daleko od Nowego Jorku i Los Angeles. Nie na jakimś wypielegnowanym przedmieściu czy w Waszyngtonie. Tak więc sprawa miała zbyt prowincjonalny charakter. Mało prawdopodobne, żeby ktoś naprawdę ważny znalazł się na celowniku

snajpera. Dlatego nie był to pierwszorzędny materiał. A ponadto tak naprawdę Ann nie miała nic konkretnego. Jeszcze nie zidentyfikowano żadnej z ofiar. Miejscowa policja nie chciała niczego ujawniać do czasu powiadomienia rodzin. Tak więc Ann nie miała żadnych wzruszających opowieści, którymi mogłaby podzielić się z widzami. Nawet nie wiedziała, czy zastrzeleni mężczyźni byli ojcami rodzin. Czy chodzili do kościoła? Czy zastrzelona kobieta była matką i żoną? Ann nie miała też wiele do pokazania. Jedynie tłum powstrzymywany pięć przecznic dalej przez policję, statyczne ujęcie ciemnej First Street oraz sporadyczne zbliżenia piętrowego parkingu, z którego — jak powszechnie uważano — strzelał snajper.

• • •

Do ósmej Emerson poczynił znaczne postępy. Jego ludzie zebrali setki zeznań. Sierżant sztabowy piechoty morskiej, Kelly, był przekonany, że słyszał sześć strzałów. Emerson mu wierzył. W takich sprawach raczej można wierzyć piechocie morskiej. Później jakiś facet wspomniał, że przez cały czas miał włączoną komórkę, ponieważ właśnie był połączony z pocztą głosową. Operator telefonii komórkowej odnalazł nagranie, na którym słychać było sześć cichych, lecz wyraźnych wystrzałów. Tymczasem patolodzy doliczyli się tylko pięciu otworów wlotowych u pięciu ofiar strzelaniny. Tak więc brakowało jednej kuli. Trzej inni świadkowie zeznali, że widzieli rozbryzg wody w fontannie.

Emerson kazał opróżnić basen.

Zajęli się tym strażacy. Rozstawili reflektory, wyłączyli fontannę i zaczęli wypompowywać z niej wodę do studzienek burzowych. Wyliczyli, że trzeba będzie usunąć około osiemdziesięciu tysięcy galonów wody, co potrwa niecałą godzinę.

• • •

Tymczasem technicy kryminalistyki za pomocą słomek do drinków i wskaźników laserowych wytyczyli trajektorię śmiertelnych pocisków. Uznali, że najbardziej wiarygodnego dowodu dostarczy pierwsza ofiara. Mężczyzna zapewne spokoj-

nie szedł z prawej strony placu na lewą, kiedy padł pierwszy strzał. Później kolejne ofiary mogły obracać się, uskakiwać lub wykonywać różne inne nieprzewidziane ruchy. Technicy swoje wnioski oparli wyłącznie na dowodach dostarczonych przez pierwszego zabitego. Głowę miał roztrzaskaną, ale wydawało się oczywiste, że kula przeszła przez nią z góry do dołu i od lewej do prawej. Jeden technik stanął w miejscu, gdzie leżało ciało, a drugi przyłożył słomkę do jego głowy i przytrzymał ją pod odpowiednim kątem. Wtedy pierwszy odsunął się, a trzeci przepuścił przez słomkę promień wskaźnika laserowego. Małeńki czerwony punkt pojawił się na północno-wschodnim narożniku dobudowanej części parkingu, na pierwszym piętrze. Świadkowie twierdzili, że właśnie tam widzieli błyski wystrzałów. Teraz uzyskano naukowe potwierdzenie ich zeznań.

Emerson posłał na parking swoich ekspertów od kryminalistyki i powiedział im, że mają tyle czasu, ile potrzebują. Powiedział im też, żeby nie wracali z niczym.

• • •

Ann Yanni opuściła wieżowiec z czarnego szkła o ósmej trzydziści i zabrała ekipę telewizyjną pięć przecznic dalej, gdzie ustawiono blokadę. Liczyła na to, że drogą eliminacji uda jej się zidentyfikować niektóre ofiary. Ludzie, których bliscy nie wrócili do domu na kolację, mogli tam przyjść, rozpaczliwie szukając informacji. Nakręciła dwudziestominutową relację. Nie zdobyła żadnych konkretnych informacji. Tylko dwadzieścia minut płaczu, zawodzeń i oszołomionego niedowierzania. Całe miasto było wstrząśnięte i zaskoczone. Zaczęła czuć dumę z tego, że jest w centrum tych wydarzeń, i w końcu jej także łzy stanęły w oczach.

• • •

Przełomowego odkrycia dokonano w budynku parkingu. To była prawdziwa bonanza. Złota żyła. Pewien posterunkowy trzy przecznice dalej spisał zeznanie stałego użytkownika parkingu, który powiedział, że ostatnie wolne miejsce na pierwszym piętrze było zagrodzone pomarańczowym styropianowym

słupkiem. Z tego powodu świadek musiał opuścić parking i zostawić samochód gdzie indziej. Strasznie go to wkurzyło. Facet z ratusza powiedział, że to nie oni ustawili ten słupek. W żadnym razie. Nie ma mowy. Nie mieli żadnego powodu. Słupek włożono więc do plastikowego worka i zabrano jako dowód. Facet z ratusza powiedział, że przy wjeździe i wyjeździe są umieszczone ukryte kamery, podłączone do magnetowidu w stalowej szafie. Taśmę wyjęto i zabrano. Potem poinformował, że zabrakło funduszy na rozbudowę parkingu i przez ostatnie dwa tygodnie nie prowadzono tam robót. Oznaczało to, że wszystko, co pozostawiono tam później, nie należało do jego ludzi.

Technicy kryminalistyki zaczęli od miejsca, gdzie była rozciągnięta żółto-czarna taśma z nadrukiem UWAGA! NIE WCHODZIĆ. Pierwszą rzeczą, którą znaleźli, było kilka niebieskich bawełnianych nitek na szorstkim betonie tuż pod nią. Zaledwie puszek słabo widocznych włókien. Jakby ktoś przykłęknął tu, żeby przejść pod taśmą, i zostawił kawałeczek swoich niebieskich dżinsów. Sfotografowali te nitki, a potem zebrali je na kawałek przezroczystej taśmy klejącej. Później przynieśli lampy łukowe i oświetlili podłogę. Leżał na niej dwutygodniowy cementowy pył. Zobaczyli wyraźne ślady stóp. Naprawdę idealne. Kierownik ekipy wyjął komórkę i zadzwonił do Emersona.

— Facet nosił dziwne buty — powiedział.

— Jakie dziwne buty?

— Słyszał pan o kauczuku? To rodzaj gumy. Prawie surowej. Bardzo przyczepna. Wszystko się do niej lepi. Jeśli złapiemy tego gościa, to znajdziemy cementowy pył na podszewkach jego butów. A w jego domu znajdziemy psa.

— Psa?

— Mamy tu psi włos, który wcześniej przyczepił się do kauczuku. I oderwał się w miejscu, gdzie beton jest bardzo chropowaty. Ponadto włókna z chodników. Zapewne z jego domu i samochodu.

— Szukajcie dalej — polecił Emerson.

• • •